Nr. 8 | Należyt. poczt. opł. ryczałt. | We Lwowie, 16 kwietnia 1930 | Rok 52

ŁOWIEC

WYCHODZI 1 i 16 KAŻDEGO MIESIĄCA

Do członków! Kwartalna wkładka dla członków wynosi 9·— złp.

Prenumerata kwartalna wynosi 4 zł. — Cena pojedynczego numeru 1 zł. Ceny ogłoszeń: cała strona 200 zł., 1/2 str. 100 zł 1/4 str. 50 zł., 1/8 str. 25 zł., 1/16 str. 12·50 zł. — Ogłoszenia na pierwszej stronie o 50% drożej. Drobne ogłoszenia 30 gr. słowo.

Redakcja i Administracja: Lwów, ul. Ossolińskich 11, III p, (Małopolskie Towarzystwo Łowieckie) — godz. biurowe od 10 do 13 i od 17 do 19. — Redaktor przyjmuje strony w biurze Małopolskiego Towarzystwa Łowieckiego we wtorki i piątki o godz. 12-tej. Adres telegramów: „Łowiec", Ossolińskich 11. — P. K. O. Konto Nr. 145.839. — Telefon Nr. 18 - 59.

Czasy ochrony zwierzyny (Art. 48 i 49) **dla Małopolski.** Ciemne pola oznaczają czas ochrony.

Rodzaj zwierzyny	Styczeń	Luty	Marzec	Kwiecień	Maj	Czerwiec	Lipiec	Sierpień	Wrzesień	Październ.	Listopad	Grudzień
Jelenie - byki, daniele - rogacze	■	■	■	■	■	■	■	■			■	■
Sarny - kozły		■	■	▌20								
Zające - szaraki		■	■	■	■	■	■	■	■			
Borsuki	■	■	■	■	■	■	■	■				■
Wiewiórki *)			■	■	■	■	■	■	■	■		
Głuszce - koguty	■	■	▌15		15▌	■	■	■	■	■	■	■
Cietrzewie - koguty						■	■	▌15				
Jarząbki		■	■	■	■	■	■	▌15				
Bażanty - koguty		■	■	■	■	■	■	■				
Kuropatwy	■	■	■	■	■	■	■	■				■
Przepiórki	■	■	■	■	■	■	■	■				
Słonki					15▌	■	■	▌15				
Bataljony						■	▌10					
Dzikie kaczory						■	▌10					
Dzikie kaczki (samice i młode) oraz inne ptactwo wodne i błotne			■	■	■	■	▌10					

Rodzaj zwierzyny	Styczeń	Luty	Marzec	Kwiecień	Maj	Czerwiec	Lipiec	Sierpień	Wrzesień	Październ.	Listopad	Grudzień
Dzikie łabędzie i dzikie gęsi					15▌	■	■					
Dropie*), dropie kamionki (strepety), dzikie gołębie, drozdy, kwiczoły, paszkoty		■	■	■	■	■	■	▌15				
Ptaki krukowate i drapieżne z wyjątkiem jastrzębi gołębiarzy, krogulców, wron i srok		■	■	■	■	■	■	▌15				
Żubry, bobry, kozice, świstaki, samice i cielęta: łosia, jelenia, daniela, sarny-kozy i koźlęta, niedźwiedzice od niedźwiątek, głuszce-kury, bażanty-kury, czarne bociany oraz w województwach: pomorskiem, poznańskiem, warszawskiem, łódzkiem, kieleckiem, lubelskiem, krakowskiem, lwowskiem, tarnopolskiem i stanisławowskiem cietrzewie-kury	■	■	■	■	■	■	■	■	■	■	■	■

*) Na mocy dodatkowego rozporządzenia Min. rol. ochrona przez cały rok do odwołania.

TREŚĆ NUMERU 8:

Nr. 8 We Lwowie, 16 kwietnia 1930 Rok 52



ORGAN MAŁOPOLSKIEGO TOWARZYSTWA ŁOWIECKIEGO

Wprowadzona od 1 stycznia b. r. przez Zarząd pocztowy wysyłka pism perjodycznych za t. zw. kartami prenumeraty powoduje ciągłe reklamacje „Łowca“ w naszej administracji. Dla zaoszczędzenia straty czasu i kosztów tak naszemu biuru jak i naszym Odbiorcom, prosimy Ich usilnie, by przed reklamowaniem „Łowca“ u nas, upominali się energicznie o niedoręczone im egzemplarze pisma w odnośnych Urzędach pocztowych, a to zawsze po 1-ym i 15-ym każdego miesiąca, gdyż w dniach tych regularnie „Łowca“ wszystkim Członkom Towarzystwa i Prenumeratorom rozsyłamy.

Zwracamy też uwagę na szczegóły tej sprawy ujawnione w sprawozdaniu z posiedzenia Wydziału zamieszczonem w tym numerze.

ALEKSANDER PRZEDRZYMIRSKI

Po śladach legendy

Mijają lata, znikają jednostki, całe pokolenia kładą się do mogił, a wraz z niemi toną w niepamięci ich bole i niedole, ich radości i to wszystko z czego się składa żywot człowieczy.

Ta nieubłagana „gąbka“ lat, bezlitośnie ścierająca kredę z tablicy zapisanej wspomnieniami pokoleń, nie oszczędza przedewszystkiem naszej społeczności łowieckiej, a chociaż czyny łowieckie nie posiadają tej doniosłości, by wpływać na historję narodu, są one niemniej częścią tej historji, zwierciadłem czasów i obyczajów a szczególniej dla badacza rozwoju łowiectwa posiadają pierwszorzędną wartość, jako tradycja i dokument; i z tego względu zasługują na ochronę od zatraty.

Niestety nic się u nas w tym kierunku nie dzieje: Zapiski pamiętnikarskie, owe dawne „Sylva rerum“ dziś nie w modzie, ziemia przechodzi z rąk do rąk jak piłka tenisowa, a nowe pokolenia polujące, polują bez pietyzmu dla swoich poprzedników i bez troski po czyich stąpają śladach.

O łowieckich czynach Krasickich z Liska zachował nam Wincenty Pol na szczęście niejakie ślady, w archiwum krasiczyńskiem odnalazłyby się pewnie wspomnienia myśliwskich przewag ś. p. Adama ks. Sapiehy. Lecz któż z młodszej generacji wie cokolwiek o istnieniu i działalności np. ś. p. Nahujowskiego i Piotra hr. Komorowskiego, wielkich łowców w dawnym stylu, którzy około połowy XIX w. polowali z sieciami i ogarami w Bieszczadach i w dużej połaci kraju, obejmującej dawne obwody Samborski i Sanocki.

Któż wie o istnieniu takich „niedźwiedników“ jak Józef Galiński i Wąsowicz, który w latach 1870 i 1880 upolowali w dobrach fundacji Skarbkowskiej w Smorzu przeszło „kopę“ niedźwiedzi, gdzie dziś ślad wielkich polowań Krukienickich za czasów takich arcymyśliwych jak Zygmunt hr. Drohojowski, Jan Ostrzechowski i stali

tych łowów uczestnicy, jak Aleksander Szczepański i żyjący i do dziś polujący przeszło 90-letni Jan Janicki, o którym to ostatnim możnaby spisać cały tom, dzięki jego humorowi i jowialności.

W niepamięci rospływają się już takie łowieckie imiona jak Teofil żurowski wielki myśliwy gór sanockich, zmarły z początkiem XX wieku, a który na kilkanaście lat przed śmiercią obchodził jubileusz tysiącznego lisa ubitego przez siebie, jak Władysław Mniszek uczestnik niepodległościowych bojów węgierskich i jeden z założycieli Lisowic. Mało kto pamięta prezesa tychże Lisowic Władysława Bzowskiego, a także wielkiego oryginała i również wielkiego myśliwego, księcia Hieronima Lubomirskiego z Rozwadowa. Zaginęła pamięć świetnych polowań w Miżyńcu pod wodzą księcia Adama Lubomirskiego i legendą są już dziś przewagi arcymistrza łowieckiego i rekordowego hodowcy Stanisława hr. Stadnickiego w Krysowicach, który polował z rozmysłu na czarnej stopie, ażeby mu następnie sąsiedzi nie wybijali rozgonionych po okolicy dzików, łatwych do otropienia na śniegu. „Gąbka“ przejechała po tablicy i zatarła wspomnienia.

Cytuję tu tylko kilka wybitniejszych nazwisk, lecz takich jest legjon, a wszystkie warte, by je „podjąć z niepamięci piasku“. W tym więc zamiarze pragnąc z mej strony ocalić choć drobne okruchy z zasypanej skarbnicy, kreślę poniższe wspomnienia.

W malowniczej górskiej okolicy w powiecie Dobromilskim u granic powiatu przemyskiego, u stóp Kalwarji Pacławskiej nad szumiącym Wiarem, przełamującym tu wąską doliną podgórza Bieszczadów, leży wieś i dwór Huwniki, była siedziba rodu Tyszkowskich i stolica rozległych ich dóbr szeroko rozłożonych w powiatach przemyskim, dobromilskim, liskim, brzozowskim i sanockim. W chwili, gdy zaczynam te wspomnienia, należały olbrzymie te dobra do przedostatniej generacji Tyszkowskich a mianowicie do dwóch braci Józefa i Antoniego, starych kawalerów i myśliwych w stylu, który znamy tylko z tradycji XVIII wieku. Choć kalendarz wieków znaczył już ósmy dziesiątek lat ub. w. to pomimo to z Huwnik i z Trójcy rezydencji braci Tyszkowskich wiało jeszcze duchem saskim i reminiscencjami księcia „Panie kochanku“.

„Polska nierządem stoi“ — tę dawną niechlubną dla nas maksymę w pełni zastosować było można do fortuny Tyszkowskich. Rzeczywiście „nierządem“ stała ta olbrzymia fortuna. Administracji, zwłaszcza w dzisiejszem znaczeniu, nie było żadnej, przemysłu oprócz kilku lichych tartaczków, żadnego fachowego kierownictwa kilkunastu tysięcy morgów dziewiczych lasów i kilku tysięcy morgów urodzajnej gleby ani śladu, służba nie była płatną, a służyła od dziada pradziada, dzierżawcy folwarków płacili śmiesznie małe tenuty lub wcale nie płacili, chłopi paśli i worywali się, gdzie chcieli, a już to żaden z nich w rozległych dobrach Tyszkowskich nie kupił ani kawałka drzewa na opał lub budulec — kraść wolno było co kto chciał, prócz, niech Bóg broni, kuny leśnej — bo pod tym względem Tyszkowscy nie żartowali, a nieszczęśnik, któremu dowiedziono kradzież kuny, tracił „łaskę pańską“ i wszystkie z niej płynące korzyści.

Kun bywało w owych czasach bardzo dużo, nie brakowało też mistrzów w tym specjalnie chłopskiem polowaniu, a każda upolowana kuna musiała być oddaną do dworu za jakieś nieokreślone wynagrodzenie, przekraczające w każdym razie jej handlową wartość. To też gromadziło się w Huwnikach tych skórek bez liku. Wszystkie kamizelki, kurty, paltoty, futra podróżne, zarękawki, wszystko to podbite było kunami, a niejedna miła a „nieskąpa“ pani otrzymywała w dowód wdzięcznej pamięci tumakową szubę lub „kopę“ wybranych skórek.

Jakkolwiek, jak wyżej wspomniałem, służba nie bywała płatną, roiło się od niej po folwarkach, a wszystko myśliwi pełniący zaszczytną służbę „Drabów“ jak określonem bywało ich społeczne stanowisko w Huwnikach. „Draby“ ci nosili rodzaj munduru, wysokie buty, kurtę bronzową i miękkie popielate czapki bez daszków do tego strzelba, torba i trąba rogowa. W każdym folwarku utrzymywano po kilka lub kilkanaście psów gończych, co w razie łowieckiej mobilizacji dawało liczny korpus drabów i jeszcze liczniejszą psiarnię.

Nie brakowało też rezydentów i „klientów“ trzymających się „pańskiej klamki“ nie bez widoków na jakiś ochłapek z pańskiej łaski.

Personal dworski dopełniała liczna kapela pod batutą b. wojskowego kapelmistrza Pistla, późniejszego dyrygenta orkiestry w teatrze Skarbkowskim we Lwowie.

Nie brakło w dworze Huwnickim i cennych bardzo zabytków. Między innemi był tam namiot i kilka dywanów pochodzących rzekomo z pod Wiednia, pozatem posiadali Tyszkowscy liczny zbiór starożytnej polskiej broni siecznej i pasów słuckich, a skarbiec ich zawierać miał, jak opowiadali bliżej wtajemniczeni, „kwartami“ nieoprawne perły i drogie kamienie. Część tych zabytków spłonęła w pożarze letniego pawilonu, który urządził sobie p. Józef przy tartaku w Huwnikach dla słuchania szumu wody. Klejnoty rozkradziono do szczętu za wiedzą właściecieli, bo według ich własnych słów, miały ciężyć na nich łzy ludzkie. Resztę zabytków oddano podobno do któregoś z muzeów krakowskich. (C. d. n.)



ALBERT MNISZEK

Historja jeleniego wieńca

Dokończenie

III.

Rozrost wieńca w stosunku rocznym

Prof. B. Altum rozdziela proces rozwoju wieńca powodowanego corocznym przyrostem nowotworzących się odnóg na sześć formacyj. Trzyma się też tej zasady i Raesfeld z pewnemi jednak odchyleniami w szczegółach.

F o r m a c j a I. U jelonka według R. Dombrowskiego 8 miesięcznego, a więc z końcem lutego i marca, według Raesfelda dopiero rocznego, a więc z końcem maja, pojawiają się nabrzmienia w kościach czołowych, zapowiadające wyrost możdżeni, z których w ciągu lata wydobywają się pierwsze pnie szpiczaka, oczyszczane ze scypułu w czasie od września do listopada. Zrzucanie tych pierwszych rogów wypada na maj i czerwiec przyszłego roku.

Raesfeld w swojem dziele „das Edelwild“ twierdzi, że czas pierwszego osadzania, oczyszczania i zrzucania rogów nie da się ściśle unormować i podlega znacznym wahaniom, powodowanym zmianami klimatycznemi i stosunkami życiowemi. Widywał on jelenie w roku poprzednim urodzone po ciężkiej zimie, które jeszcze z końcem czerwca nie wykazywały na czole guzów możdżeniowych, stosownie więc spaźniały się też one z oczyszczaniem i zrzucaniem pierwszych swych rogów.

F o r m a c j a II. Występuje tu najpierw odnoga oczna, dość wysoko na pniu osadzona i tworzy z nim formę widłaka. Niezawsze jednak odnoga ta w tej formacji występuje, brakuje nieraz zupełnie, lub tylko nacięciem się zaznacza; w tym wypadku mamy po raz drugi widłaka, bywa też jednak często, że prócz odnogi ocznej wyskakuje już w tej formacji i odnoga środkowa, wtedy mamy szóstaka. Za podstawę do kwalifikacji służy w tych wypadkach rozwój uzębienia, jeżeli bowiem jeleń nie osadził jeszcze szóstych zębów trzonowych, jest on wtedy w drugiej formacji rozrostu swego wieńca. Jak widzimy, formacja ta przedstawia się nam dosyć kapryśnie i rozwój wieńca zależy w niej od rozmaitych postronnych wpływów, a więc od warunków życiowych zwierzęcia i jego właściwości fizycznych. Bywają w tej formacji ósmaki a nawet dziesiątaki, a forma normalna widłaka jest właściwie objawem dla hodowcy niepożądanym.

Charakterystyką tej formacji jest ukształtowanie się po raz pierwszy, niekłej jeszcze, coprawda, r ó ż y.

F o r m a c j a III. Przez wystąpienie nowej odnogi, środkowej, powstaje szóstak. Odnoga oczna wyrasta niżej, niż w poprzedniej formacji, a więc zbliżyła się do róży, ale jeszcze się jej nie dotyka. Koniec głównego pnia wykazuje wyraźne wygięcie do środka.

F o r m a c j a IV. Pień główny rozwidla się w ten sposób, że nazewnątrz występuje nowa odnoga, wskutek czego tworzy się ósmak. Róża występuje znów wyraźniej, odnoga oczna osadza się znowu niżej. Rozwidlenie pnia głównego w górze jest charakterystyczne w tej formacji. Gdyby nawet róg wykazywał cztery odnogi przez zaistnienie odnogi nadocznej, a brakowało rozwidlenia pnia głównego, jelenia w tym wypadku uważa się nie za ósmaka, lecz za cofniętego dziesiątaka.

F o r m a c j a V. wykazuje dwie formy: albo przybywa nowa, trzecia odnoga w pniu głównym i tworzy się po raz pierwszy korona, albo przybywa odnoga nowa między oczną i środkową, t. j. odnoga nadoczna. W pierwszym wypadku mamy dziesiątaka koronowego (Kronenzehner), w drugim dziesiątaka niekoronowego (Eissprossenzehner).

F o r m a c j a VI. Przez wystąpienie odnogi nadocznej z dziesiątaka tworzy się dwunastak. Do tej formacji wliczamy też wszystkie poroża od 12-ka w górę. Tworzą się one przez występowanie co roku nowych odnóg w koronie.

Jak widzimy, odnoga nadoczna wykwita z pnia głównego dopiero w formacji VI, a często też nie wykwita zupełnie, lub tylko sporadycznie przez cały przeciąg życia jelenia. Odnoga ta jest kapryśną, w swym rozroście leniwą, bo najkrótszą zwykle z odnóg bojowych i temi właściwościami swojemi daje badaczom szeroki temat do dyskusji.

Raesfeld w wyż wspomnianem dziele przytacza, że uważając brak odnóg ocznych za błąd dziedziczny, odstrzeliwał w swoich łowiskach przez czas jakiś wszystkie byki, które ich nie wysadzały. Wkrótce jednak przyszedł do przekonania, że był w błędzie. Starsze byki 14, 16-aki i wyżej, niespodziewanie w jakimś roku wzbogacały temi odnogami swe wieńce. Brak ich nie jest więc w takim razie objawem dziedzicznym, lecz raczej objawem niedojrzałości i złej kondycji zwierząt. Możnaby uważać okazanie się po raz pierwszy odnogi nadocznej za świadectwo osiągniętej dojrzałości fizycznej byka w starszym choćby dopiero wieku, u młodych za świadectwo zdrowia i rękojmię pomyślnego w przyszłości rozrostu wieńca. Z tego założenia wychodzi dla hodowcy konkluzja, że młode byki posiadające odnogi nadoczne winne być bezwarunkowo chronione i uważane za jelenie przyszłości, za przyszłych reproduktorów.

Z powyższego też założenia wychodząc, a więc, że istnienie odnóg nadocznych jest dowodem rasy, zdrowia i dobrej kondycji zwierzęcia, musimy przyznać słuszność niemieckim myśliwym, że przy kwalifikacji wieńców uwzględniają tylko odnogi istniejące, a więc odnogi nadocznej, gdy jej niema, nie liczą, gdy my, jak również myśliwi francuscy odnogę nadoczną uwzględniamy, choć jej niema. Jeleń więc o czterech odnogach w koronie, nie posiadający odnóg nadocznych, będzie w niemieckiem łowiectwie 12-akiem, w polskiem i francuskiem 14-akiem.

Kiedy jest tu mowa o formowaniu się wieńca, wspomnieć mi jeszcze wypada o pewnej właściwości spotrzeganej często u jelenia karpackiego, a obcej jeleniowi zachodnio-europejskiemu. W Karpatach zetknęły się ze so-

bą przed tysiącami lat dwie jelenie rasy, jeleń europejski (Cervus elaphus) z jeleniem azjatyckim, maralem (Cervus mar.) i stworzyły typ odrębny w 70% dominujący, różniący się od w mniejszości będącego elaphusa, tem, że wieniec tego typu mieszanego posiada nie trzy, lecz cztery w przód zwrócone odnogi, a więc bojowe, a dopiero nad czwartą pień główny rozkwita się w koronę.

IV.

Jak idealnie uformowany wieniec wyglądać powinien

Wieniec jeleni, ta najponętniejsza zdobycz myśliwego europejskiego, powinien być potężnie i bujnie rozrośnięty, tak, by widza fascynował urokiem pierwotności i siłą rodzimej przyrody, z której łona wybrany został. Ale przedewszystkiem powinien być nieskażony w linji, proporcjonalny w grubości pni, ich wysokości i rozpiętości, piękny zewnętrznie, ciemnego koloru, z białemi, ostremi końcami, pięknie, regularnie bruzdowany i uperlony, z silnemi i silnie uperlonemi różami. Błędami w wieńcu są braki lub nikłość odnóg, rażąca różnica w ukształtowaniu się odnóg między jednym a drugim pniem, brzydki jasny kolor, zmurszałe lub ułamane końce odnóg, słabość pni i róż, brak uperlenia i zły stosunek wysokości wieńca do jego rozpiętości. Szczególnie brzydkiemi są wieńce formy kolistej, t. j. gdy najwyższe odnogi koron zanadto do siebie się zbliżają; wygląda taki wieniec, jak pęknięta obręcz z beczki, brzydkie są też wieńce o pniach prostych przypominających drabiny.

W prawidłowo uformowanym wieńcu odnogi oczne wyrastają nisko, wprost z róż i są zwykle najpotężniejszemi odnogami bojowemi. Korona wieńca może być gałęziastą (pojedyńczą, lub podwójną, nawet i potrójną), łopaciastą, lub wreszcie kielichowatą. Ta ostatnia forma jest najrzadszą i zdobi tylko najpotężniejsze, wieloodnogowe wieńce.

Najpiękniejszym jest silny wieniec, pięknie uformowany z bujnemi odnogami, w którym wysokość i rozwartość pni w dobrym stoją do siebie stosunku. Za skąpa rozwartość szpeci wieniec i czyni go mniej potężnym. Już lepiej, gdy wieniec posiada większą rozpiętość od wysokości. Za wielka rozwartość pni psuje jednak też linję. Idealnie zbudowanym wieniec jest wtedy, jeżeli linja jego rozpiętości, a więc linja pozioma łącząca wewnętrzne ściany pni, w miejscu ich największego rozchylenia równa się linji wysokości, t. j. linji pionowej, zaczynającej się między różami idącej środkiem między pniami i do wysokości końca najwyżej osadzonej odnogi, czyli, że wysokość (nie długość) wieńca powinna się równać rozchyleniu jego pni.



Dr. W. B.

W obronie jelenia w Karpatach

Wołanie z puszczy zaczyna nareszcie pobudzać do odgłosów — wprawdzie wrogich narazie, ale i to coś znaczy, bo już nie sieje się w próżnię, a gleba jeszcze egoizmem stwardniała, może gdy prawda zaświeci — siejbę przyjmie.

Tem przekonaniem wiedziony, wracam do powyższego tematu.

Ukazał się w obydwu „Łowcach" (Ł. P. Nr. 50—51 929 i Ł. Nr. 24/929) artykuł z przytoczonym u góry tytułem, p. Redaktora A. Mniszka. Głos to jednego z najpoważniejszych zastępców naszego Małopolskiego Towarzystwa Łowieckiego, o odpowiedniej pewności tonu. Ponieważ M. T. Ł. jest z natury rzeczy instancją najbliżej w Polsce sprawy stojącą, z prawdziwym żalem odniosłem wrażenie, że głos Jego W. Prezesa mało w nią wnika.

Autor zechciał tylko zwrócić uwagę na mój ostatni artykuł w „Łowcu Polskim" Nr. 29/929, pisany z przejściowemi wnioskami, co wyraźnie zaznaczyłem, a treść Jego wywodów wskazuje, że mych poprzednich przedstawień z zasadniczych stron sprawy — nie czytał. Nie byłby mię inaczej np. pouczał o właściwych zasługach hr. Potockich dla jeleni w Karpatach, które sam wybitnie podniosłem, tylko z nieco innego punktu widzenia.

Można być najprzeciwniejszego zdania w dyskusji, owszem naświetlenie sprawy z przeciwległych stron, tylko ją uwypukla i pewniej do prawdy prowadzi, ale ignorować czyjeś wywody dlatego, że do niemiłego wyniku zmierzają — to swej tezy nie obroni, a sprawie się nie przysłuża.

Argumenta należałoby zbijać tą samą bronią.

Opinie: „Od czasów pierwotnych istnieje w przyrodzie prawo silniejszego — prawo dżungli" — i niżej: „Myśliwstwo wyzyskuje dla swoich celów momenty erotyczne pewnych gatunków zwierząt, jest to prawo tradycjami i obyczajem uświęcone i tego prawa myśliwy się nie zrzeknie, raz, że daje mu ono wielką myśliwską rozkosz, po drugie, że w zastosowaniu do pewnej zwierzyny jest ono koniecznością".

To nie argumenta,lecz silne w tonie i całkiem otwarte stwierdzenie atawizmu swego po przodkach — od czasów jaskiniowych.

A jakże smutno przedstawiają się pierwiastki hodowlane tkwiące w tej opinji, skoro dalszy jej ustęp twierdzi: „myśliwy przestałby się rewirami karpackiemi interesować, gdyby paragraf prawa łowieckiego zamknął polowanie na jelenie w porze rykowiska!"

Przecież opinja ta „nie może sobie wyobrazić polowania na łowną zwierzynę poza czasem jej rui!"

Przyznaję, że rykowisko jest ułatwieniem do dostania jelenia, ale właśnie z tego ułatwienia powinniśmy zrezygnować.

Wierzę, że to zapatrywanie zwycięży kiedyś — byle nie zapóźno — i że będziemy się wtenczas żenować z po-

wodu omawianego tu, niejako „ex cathedra" w „Łowcu" głosu, iż „jeleń dla myśliwego poza rują nie egzystuje".

Dziesiątki lat mieszkam w Karpatach — był czas, że miałem rocznie po kilkadziesiąt sztuk jeleni do odstrzału w najrozmaitszy sposób — i jestem zdania, że powyższe ciasne zapatrywanie będzie nas kiedyś ciężko kompromitować.

Są przecież najrozmaitsze okresy w życiu jeleni karpackich do strzału, nie właśnie tylko ten, w który przyroda każda swe życie przeznacza ku rozmnoży.

Jeżeli wytrawna opinja łowiecka podchód i zasiadkę na grubego zwierza najwyżej stawia, jako formę polowania, to chyba nie dlatego, że najłatwiej je w okresie rui wykonywać.

Jeżeli podchód na kozła jest bezsprzecznie najpiękniejszem polowaniem na rogacza-sarnę, dlaczegoż nie mógłby mieć również najwyższych walorów podchód rogacza-jelenia? Owszem, jeleń daje do tego celu dłużej sposobność, niezrzucając poroży — aż na przedwiośniu. Prawda, że teren jelenich podchodów jest o wiele potężniejszy i większych wkładów fizycznych wymaga, jak przy koźle, bo zręby karpackie — to nie równinowe — ale też i ewentualna zdobycz odpowiednio wspanialsza, a strzał przy dzisiejszej broni i szkłach, równie pewny na trzysta kroków do jelenia, jak na sto do kozła.

Weźmy inny sposób polowania. Czy naprawdę większą daje emocję odbicie ryczącego byka przy łaniach, niż na tle głębokiej karpackiej kniei defilujący rudel takich leśnych potentatów, wyciśnięty odpowiednią taktyką kilku naganiaczy!? Nie mówię już o wstrząsającem napięciu, gdy takie stado ruszone przeze psy gończe, łamie poprzez młodniki, pędząc na obserwatora-myśliwego!

Nie twierdzę bynajmniej, że łatwiej jest w tych warunkach wybrać najtęższego rogacza, jak między stojącemi przy łaniach! Lecz to jelenie łowy, do których tylko doświadczeniem i rozwagą pasowani na rycerzy kniei myśliwi powinni mieć dostęp.

Zresztą w jakimże okresie powstały takie pojęcia światowej sławy myśliwych karpackich Niemców (Dombrowskich i t. p.), jak „Feisthirsch, Barthirsch", — jak nie poza rykowiskowym okresem polowania na jelenia? A sam P. W. Prezes M. w Swej replice o kozły zimowe w „Łowcu" Nr. 3/927, str. 46 czy nie pisał dosłownie: „Co do jelenia, to zgadzam się, istnieje daleko wyższy rodzaj łowów na niego, niż na rykowisku..."

Zejdźmy teraz z wysokiej platformy emocji, na niższą nieco.

Jeżeli mianujemy się hodowcami i apelujemy do uznawania powagi łowiectwa ze strony ekonomji społecznej, to i sposób zużytkowania ubitego jelenia powinien być odpowiednio brany pod rozwagę.

Co się dzieje w zasadzie z jeleniem ubitym w rykowisku po obcięciu i zabraniu mu czaszki z porożem? Z powodu trudności, czy to terenowych, czy braku ludzi, a gorąca, braku koni — i braku czasu... bo gdzieś tam już drugi dobry jeleń napięty — ryczący i t. p. — zostawia się go w potoku — na pastwę lisom i niedźwiedziom.

W ten sposób w zasadzie marnieje w jednym jeleniu po paręset kg. mięsa użytkowego. Darujmy już, że to mięso, jako powalone w okresie rui, zwykle wiele traci jakościowo — ale ono w ogóle w zasadzie przepada bez spożytkowania.

Przechodzę do idei stworzenia jeszcze jakiejś nowej instancji z marką specjalną „Towarzystwo opieki nad jeleniem w Karpatach". Tak proponuje P. H. Knothe, a uzupełnia P. A. Mniszek.

Mojem zdaniem w samej koncepcji tkwi już implicite ubliżający dotyk dla dotychczasowego sprawiania się zespołu karpackich myśliwych — jako hodowców jelenia. Przypuszczam, że wnioski poddawane temu nowemu ciału dla ministerstwa, mogłyby aż nadto obszernie przypaść Małopolskiemu Towarzystwu Łowieckiemu po rozpatrzeniu przez karpacko doświadczonych jego członków. Tych ostatnich możnaby więc co najwyżej zrzeszyć ad hoc w sekcję karpacką.

Dryl i komisje wieńcowe, potrzebne widocznie przyuczonym doń junkrom pruskim — niech im służą! Nam przedewszystkiem potrzeba czego innego. Jestem zdania, że dopiero, gdy w poczuciu naszego świata myśliwskiego zapanuje prawdziwa i naprawdę poważna myśl hodowlana, wtedy, rozumie się, zacznie ona zasadniczo od objęcia rui w swą opiekę — i to nietylko co do jelenia, ale i co do innej t. zw. szlachetnej zwierzyny. Dotąd — właśnie w tej porze zarzynamy ją, a to nie przeszkadza nam martwić się, że jej coraz mniej — i pisać epopeje na jej cześć! Nie wolno nam też do tego czasu wiele trzymać o naszej etyce łowieckiej.

Bez powyższego poczucia, projekt tej nowej instancji, czy komisji kontrolnej etc., to tylko wstawienie nowego kółka do i tak ciężkiej już w życiu maszyny towarzysko-społecznej, — to tylko projekt jednego więcej otarcia dziewiczej farby z uroków karpackich.

Bądźmy my prawdziwymi hodowcami, po przetrawieniu i przyswojeniu sobie wszystkich zasadniczych warunków z tem związanych, a tych inspektorskich zabiegów, jak dla studentów, nie będziemy potrzebować! Na wszelkie kłusownictwo jest dość silnie pomyślana nowa ustawa łowiecka, byle jej rygory stosowano — tylko kalendarz ochronny trzebaby jej sprostować.

Niniejszem, aby się nie powtarzać, nie poruszyłem tych wszystkich elementarnych okoliczności za tezą ochrony rui jeleniej przemawiających, które podnosiłem w poprzednich z tego tematu artykułach ale powołuję się na nie, cytując je niżej i apeluję do naszej ambicji narodowej łowców myślących o przyszłości.*)

---

*) Są to:
1. Łowiectwo Polskie Nr 1/VII 1922: „Uwagi na rzecz polskiej ustawy łowieckiej".
2. Łowiectwo Polskie Nr 10/VII 1923: „Uwagi na rzecz polskiej ustawy łowieckiej".
3. Przegląd Myśliwski z roku 1924: Temat: O ochronie głównych reprezentantów fauny Karpat.
4. Przegląd Myśliwski Nr 8/IV 1926. Temat: „O czas ochrony w porze godowej".
5. Łowiec Polski z roku 1928: W dziale: Wolna trybuna: „Ochrona jelenia w Karpatach".
6. Łowiec Polski Nr 29/1929: „W obronie jeleni karpackich".

Wbrew uzasadnieniu P. W. Prezesa M., iż „na obu półkulach naszego globu poluje się na jelenie w czasie rui", uważałbym za honor dla myśliwstwa polskiego, gdybyśmy właśnie, jako właściciele Półkarpacia, uczynili początek w ochronie rui jelenia i tem samem postawili wysoko w poważnej opinji światowej polską gospodarkę łowiecką.

Zanim skończę, zapytuję jeszcze — cóż na to wszystko istniejący w Warszawie Instytut Łowiectwa? Przecież, jeśli się nie mylę, to jest właściwa instancja do zabierania głosu ponad namiętnościami myśliwskiemi — i która, jeżeli ma spełniać swą wysoką misję, powinna pierwsza wskazywać dalekie horyzonty ku rozwojowi, w najlepszem tego słowa znaczeniu, naszego łowiectwa!

Szanowny Autor powyższego artykułu traktuje sprawę ze stanowiska sztuki. Rozumiem go dobrze i zgadzam się z Nim na tym punkcie widzenia, nie po raz pierwszy to wyrażam, najzupełniej. Jeleń karpacki wypracowany i ubity poza rykowiskiem, w czasie łojnym, kiedy jak mówi myśliwy niemiecki, jest tak ostrożny, „że się boi swego cienia" jest najwyższą sztuką łowiecką. Odstąpienie jednak od łowów rykowiskowych, a polowanie poza niem jest nieziszczalnem marzeniem z tego względu, że wszyscy dzierżawcy rewirów karpackich porzuciliby je odrazu, gdyż ubicie jelenia w czasie łojnym jest tak trudne, że można je wliczać w sferę li tylko przypadków. Nieopłaciłoby się nikomu wydawać po kilka dobrych tysięcy rocznie — dla turystyki karpackiej — i stałoby się to, co powiedziałem: w rewirach karpackich polowałby kłusownik i wilk.

Nie dziwiłbym się jednak myśliwemu, posiadającemu swój własny (a nie dzierżawiony) rewir w Karpatach, gdyby w nim zarzucił łowy na rykowisku, a polował tylko na jelenie w czasie łojnym. Znając dokładnie łowisko i jego przesmyki, mógłby od czasu do czasu ważką poszczycić się zdobyczą, którąby mu wynagrodziła wszystkie trudy i zawody. Jeden taki byk da mu więcej myśliwskiej rozkoszy, niż dziesięć ubitych na rykowisku. Zgadzamy się pod tym względem z Sz. Autorem najzupełniej, i dziwię się tylko, że On ze mną o to zapatrywanie polemizuje. Ja tylko śmiem twierdzić, że wyłączenie rykowiska z łowów karpackich jest nieziszczalnem marzeniem i byłoby w praktyce dla rozwoju zwierzostanu bardzo szkodliwem.

Kwestja „mięsna", którą poruszył Szan. Autor, zdaniem mojem nie zasługuje na dyskusję, gdyż w wysokich łowach nie może istnieć.

Nie wyobrażam sobie czegoś równie przykrego dla myśliwego, jak widok naszego króla Karpat pędzonego przez zgraję kundli! To już ze sztuką łowiecką nie miałoby nic wspólnego. Wszystkie jednak pojęcia, a więc i łowieckie, podlegają z biegiem lat ewolucji. Może kiedyś ci, co po nas nastąpią, będą tak polować. Może też i ubicie głuszca na toku, wśród pieśni będzie niezgodnem z przyszłą etyką łowiecką. Będą polować na nie z nagonką. Zdaniem mojem będzie to też objawem nie gasnącego nigdy w rodzaju ludzkim atawizmu pierwotności, będzie objawem chęci powrotu wstecz, ku czasom jaskiniowym. *A. M.*

KAZIMIERZ MARMOROSS

Wspomnienia z polowania na wilki w Karowie

Kiedy się raz rozpisałem o moich dawnych przeżyciach łowieckich, muszę wspomnieć o moich ś. p. Towarzyszach, którzy udział w nich brali.

Dzięki Najwyższemu cieszy się dobrem jeszcze zdrowiem główny uczestnik tych łowów i na jego świadectwo powołać się mogę. Jest nim p. Jan Urbański. Dobre to były czasy, kiedy z nim sąsiadowałem, a którego majątek Poddębce od Karowa o małą milę był oddalony. Lasy nasze stykały się bezpośrednio, to też wspólnie polowaliśmy na dziki i wilki lęgowe w naszych kniejach. Tu nadmienić muszę, że mija już przeszło pół wieku z górą, jak razem polujemy.

Polowaliśmy w Poddębcach onego czasu, a z uczestników tych łowów już żaden nie żyje prócz nas dwóch. A brali udział w tem polowaniu Zdzisław Obertyński, Tadeusz Starzyński, Franciszek Jędrzejowicz, Aleksander Hulimka i Zbigniew Lanckoroński. Wróciwszy do domu wieczór po pierwszym dniu polowania, dowiaduję się od Pani mojej, że przyszła depesza od mojego przyjaciela Edwarda Müntera zapowiadająca na jutro pierwszą poślubną Jego wizytę z żoną. Zapadł wyrok Pani mojej, że mowy niema już o jutrzejszem polowaniu i słusznie. Co tu robić, rozmyślam, tłómaczę, że rozumie się, że muszę być w domu, a tu wilka ciągnie do lasu! Św. Hubercie ratuj! Po długich pertraktacjach stanęło na tem, że pojadę, ale święcie przed przyjazdem pociągu, który nam miłych gości przywiezie, wrócę do domu. Aby się moja Pani jeszcze nie rozmyśliła, już, skoro świt, byłem w Poddębcach.

Łaskawy gospodarz, gdy mu opowiedziałem, że tylko do południa będę mógł polować, nie chciał o tem słyszeć, ale w końcu ustąpił z tem, że razem z E. Münterem wieczorem na obiad do Poddębiec przyjedziemy.

Tego dnia miałem towarzysza na saniach w lesie, Zbigniewa Lanckorońskiego. Około południa zasiadamy do śniadania, a ja widząc, że czas mi wracać do domu, z żalem żegnam się z gospodarzem i towarzyszami, którzy nie szczędzą mi na odjezdnem swoich uwag i rad różnorodnych. W tem, gdy już na własnych saniach siedzę, aby odjechać, widzę, że galopem zajeżdża mój leśniczy Ziółecki.

Widocznie coś zaszło ważnego, myślę z niepokojem, a może wizyta odwołana, pomyślałem. Zlatują się wszyscy myśliwi do moich sanek, a Ziółecki raportuje, że otropił 3 wilki w karowskiej kniei w miocie Hruszowa i że wszystko czeka, aby tylko miot ten przepędzić. Chyba był to dostateczny powód, że na śmierć zapomniałem o powrocie do domu! Obejmuję komendę, porzucamy łowy w Poddębcach i wszyscy jedziemy na wilki do kniei karowskiej. Jadąc, rozmyślałem, że towarzysza mego na sankach, Lanckorońskiego także postawić muszę na stanowisku, na które mogą wilki wyjść, choć to myśliwy nie strzelający, mimo, że ma strzelbę. Ale czy też ma ładun-

ki? Pytam się — Zbigniewie, a czy masz ładunki? Na to on wyciąga z futra dwa ładunki i mówi: mam i to dwa „gastdicht" patrony. A więc proszę kochany, żebyś, gdy wyjdą na ciebie wilki (a pomyślałem: co nie spraw św. Hubercie!) strzelał do nich w miocie, nie przepuszczając za siebie. Przyrzekł święcie wypełnić moje życzenie.

Frontem do miotu postawiłem pierwszego Hulimkę, dalej Starzyńskiego, Obertyńskiego, Jędrzejowicza a na rogu linji Lanckorońskiego i zaraz blisko na flance do pomocy temuż Urbańskiego, sam stanąłem ostatni o 100 kroków dalej. Resztę flanki poleciłem zamknąć saniami, które nas tu przywiozły a kierował niemi Bazyli leśniczy z Poddębiec i ten dał wkrótce sygnał do rozpoczęcia miotu.

Pogonka się odezwała, a leśni moi w trzech punktach dali po jednym strzale, by wilki tem pewniej wyprzeć na linję strzelb. Liczę do dziesięciu z doświadczenia, że w przeciągu tego czasu powinny wilki wyjść na strzał, i gdy wymawiam dziesięć, widzę, jak Jan Urbański podnosi broń do twarzy i równocześnie słyszę dwa strzały raptownie dane.

W dwu sekundach po strzałach, widzę lonżujące mnie dwa wilki w pełnym galopie, z których pierwszego uśmierciłem w ogniu, a do 2-ego nie zdołałem niestety strzelić. Pewny będąc, że Urbański także wilka zastrzelił, biegnę linją do niego, bo widzę stojącego Zb. Lanckorońskiego z cygarem w ustach, a obok niego stoją Urbański i Jędrzejowicz, ale coś zawzięcie gestykulują i atakują Zbigniewa. Gdy się do nich zbliżyłem, wystąpił uradowany Lanckoroński ze słowami do mnie: mój kochany Kaziu, wielką frajdę sprawiłeś mi, bo wilki wyszły jak na sznurku, a stosując się do twojego życzenia, nie raz, ale dwa razy wypaliłem w miot w górę na wiwat".

Oniemiałem, a Urbański i Jędrzejowicz stali zrozpaczeni; gdyby nie te dwa strzały dane przez Zbigniewa, musieliby do wilków strzelać, więc nie szczędzili Zbigniewowi pochwał, ale innego rodzaju.

Z wilkiem wieczorem wróciłem do domu, gdzie mię E. Münter na ganku oczekiwał. Jakie było przywitanie z moją Panią, zamilczam. Trudno, wilki były winne, nie ja. Głowa wilka, którego wtenczas zabiłem, do dzisiejszego dnia zdobi ścianę mego myśliwskiego pokoju, na wieczną pamięć tego pamiętnego zdarzenia.

Na zakończenie tego opowiadania, nie mogę pominąć wspomnienia o Bazylim, leśniczym z Poddębiec. Był to służbista i dobry człowiek, stary sługa ś. p. hr. Teodora Lanckorońskiego, zaawansowany na leśniczego. Posiadał dubeltówkę spłonkową, z której nigdy nie dał ani jednego strzału, a to z ważnej przyczyny, jak opowiadał. Prawka nie miała kominka, ale służyła na przechowywanie w swem wnętrzu regestrów leśnych, z lewki możnaby się odważyć wystrzelić, ale z obawą, że przy tym eksperymencie wyleci kurek z wylotu prawki, którym zatkane są regestra, a nie daj Boże i regestra spalićby się mogły.

GEN. WALERY MARYAŃSKI

Amunicja krajowa

(Ciąg dalszy)

A teraz porównajmy ceny amunicji naszej z cenami firm zagranicznych np. w Austrji; amunicja fabryki w Hirtenberg jest znana z doskonałej jakości, zdobyła dużo pierwszych nagród i może być za równowartościową np. z „Pociskami" a za lepszą, niż naboje Warsz. Spółki Myśliwskiej uważaną.

Dlaczego 100 łusek marki „Kleeblatt" (najdroższa sorta!) kosztuje we Wiedniu 10 zł. 25 gr., podczas gdy setka łusek „Pocisku" aż 20 zł. a więc 90 proc. drożej?

(Całkiem do dyskusji nie nadaje się cena łusek Warsz. Spółki Myśliw., które mimo niższej bezwarunkowo jakości, niż „Pocisk" — również 20 zł. kosztują).

Wszak koszta surowców, amortyzacji maszyn i ceny sił roboczych, są mniej więcej te same.

Analogicznie ma się sprawa z gotowemi śrutowemi nabojami, których najlepsza marka w Austrji jest o 31 proc. tańsza od wyrobów „Pocisku".

Co uprawnia do tak wygórowanej ceny?

Jeszcze fatalniej wypadnie porównanie z cenami wyrobów niemieckich, o których doskonałości żaden myśliwy, który miał sposobność niemi strzelać — nie wątpi.

W Niemczech niema żadnego monopolu państwowego, dzięki temu jest tam zdrowa konkurencja licznych, bardzo solidnych firm, dlatego kalkulują się tam ceny na realnej podstawie.

Dlaczego może tam np. firma Noldenmayer oferować swoje bezdymne gotowe naboje znanej z dobroci marki „Greiff" po 23 zł za 100 sztuk, a więc o 21 zł. — czyli o 73 proc. taniej, niż „Pocisk", lub „Spółka Warszawska"?

A teraz mały figiel rachunkowy, by znużonego liczbami, cenami i procentami Szan. Czytelnika rozerwać i uratować przed atakiem cyfrowej kołowacizny.

Wyobraźmy sobie jakiegoś jegomościa, mającego bardzo dużo wolnego czasu, bardzo dużo ochoty do roboty, a żadnej ku niej sposobności (np. jakiegoś młodego, obiecującego „emeryta") — któryby z nudów lub w przystępie „radosnej twórczości" wpadł na koncept robienia śrutowych nabojów własnoręcznie, tak jak to ongiś przed wielu, wielu laty nasi ojcowie czynili.

Kupił więc wagę do prochu (6 zł.), miarkę na śrut (0,50 zł.), maszynkę do zakręcania gilz (8 zł.) — razem 14,50 zł. — i zaczął pracę, nabywszy łuski, proch, śrut, przybitki i kartoniki w jakimś solidnym, ale bardzi drogim sklepie — np. w „Warsz. Spółce Myśliwsk.".

Jakby mu się to kalkulowało?

Np. 100 sztuk nabojów dymnych kal. 16 (dla gajowych, studentów i innych młodych ludzi, mających ogromną ochotę do strzelania i ogromną zajadłość na okna Pana Boga).

100 sztuk łusek = 14 zł. (u Hirtenberga: 7 zł. 12 gr., u Kerney-Carron: 6 zł. 86 gr.), 450 gr. krajowego prochu dymnego 4,5 zł., 2,80 kg. śrutu 7,50 zł., 100 sztuk przy-

bitek wojłokowych 3,50 zł., 100 kartoników 0,20 zł. — razem 29 zł. 70 groszy. (W Spółce Warszawskiej zapłaciłby za owe 100 sztuk gotowych nabojów 40 zł.!) — czyli na setce 10 zł. 30 gr. t. j. 34 proc. czystego zarobku!

Pracując „ochoczo" 8 godzin dziennie i robiąc w tym czasie 480 patronów — zarobiłby: 10 zł. 70 gr. × 4,8 = 49 zł. 44 gr. dziennie a miesięcznie: 30 × 49,44 zł. = 1482 zł. 20 gr. czyli prawie poczwórną pensję emerytalną!

Wiwat! Heureka! Nareszcie lukratywne źródło dochodów!

Zachęcony tym niebywałym rezultatem, postanawia nasz emeryt przenieść swoją „radosną twórczość" na naboje bezdymne w nadziei, że znajdzie na nich nabywców-gentlemenów, dla których 100 zł. mniej lub więcej nie robi różnicy. (Optymista! Gdzie dziś takich w Polsce znaleźć!?).

Mknie więc znowu szybkim krokiem do „Spółki Warszawskiej" i żąda 100 sztuk łusek do bezdymnego prochu — ale naturalnie tylko „Pocisków" (naczytawszy się niezawodnie w „Łowcu" moich artykułów na temat ich doskonałości).

W „Spółce Warszawskiej" spotyka go lekki — aczkolwiek zrozumiały zawód.

Tu bowiem „Szanowni Panowie" oświadczają „Szanownemu Panu", że niestety „Pociskami" nie mogą służyć, bo wyrabiając własne, doskonałe łuski — nie prowadzą towarów konkurencyjnej wytwórni, radzą jednak, by Szanowny Pan raczył spróbować... Jednak emeryt ma „zasady i charakter", wierzy tylko w „Pociski": transakcja nie przychodzi do skutku!

Co tu robić?! Hm!?

A! Przecież jest nasz Dmytrach! U niego zawsze wszystko prima — primissima! Nie było wypadku aby czegoś nie miał na składzie, od najegzotyczniejszych i najnowszych „Magnum" począwszy, a na Lefaucheux kal. 14 skończywszy!

A więc „galopem z lewej" na ul. Legjonów!

Zacny pan Eustachy z miną, jak zawsze smutną, jakby z własnego pogrzebu wrócił — (ale trudno dziś w czasie powodzi zaprotestowanych wekslów, posuszy gotówki i niepunktualności w płaceniu rat o inną!) — obsłużył jednak „Pana Dobrodzieja" najuprzejmiej doskonałym towarem, dał jakiś mały opust — a nawet była mowa o jakichś ratach — kwestja ta jednak wobec tego, że było to tuż po pierwszym, upadła — i „radosny twórca" goni do domu, by „tworzyć"!

Jakże się ta „amunicja" dla „dobrze sytuowanych" kalkuluje? A więc: 100 łusek „Pocisk" niestety aż 20 zł., (u Verney et Carrou, qualité superiere 12 zł. 24 gr., we fabryce Hirtenberg marka „Kleeblatt" 10 zł. 25 gr.), 180 gr. Rottweil 7,20 zł., 2,8 kg śrutu krajowego 7,50 zł., 100 sztuk przybitek krajowych 3,50 zł., 100 sztuk kartoników na śrut 20 gr. — razem 38 zł. 40 gr.

Setka gotowych bezdymnych „Pocisków" wzgl. „Spółki Warszawskiej" kosztuje w każdym sklepie 44 zł., czyli 44,00 zł. — 38,40 zł. = 5,60 zł. zysku na setce t. j. 26% zysku.

Wprawdzie nie jest to taki „bajeczny" interes, jak przy „dymnych" nabojach, ale zawsze dzienny zarobek przy 8 godzinnej pracy = 4,8 × 5,6 zł. = 26 zł. 88 gr., miesięcznie 806, 40 zł. — czyli podwójna pensja emerytalna! W każdym razie rzecz arcyintratna w Polsce, samemu robić naboje!...

Ale dość fraszek! Mówmy na serjo!

Jak się da umotywować np. ze strony „Warszawskiej Spółki Myśliwskiej" wynagrodzenie za zrobienie 100 szt. nabojów w kwocie 10 zł. 30 gr. wzgl. 5 zł. 60 gr. (czyli 34% wzgl. 26% ceny towaru) — jeśli czynność ta przy pomocy maszyn może trwać kilkanaście minut! Zresztą czynność ta, czy przy dymnych, czy bezdymnych jest mniej więcej jednakowa!

Przecież to jest horrendum!

A proszę nie zapominać, że jako podstawę do powyższej kalkulacji wziąłem przy zakupnie poszczególnych, do zrobienia nabojów potrzebnych artykułów ceny handlu d e t a i l i c z n e g o — w które już jest wliczony conajmniej 10% zysk wytwórni. Mamy więc właściwie już nie 34% wzgl. 26% — lecz 44% wzgl. 36% zysku. O ile mi wiadomo, jest tylko jedna branża, w której tego rodzaju kalkulacja zysku jest dopuszczalna — a mianowicie przy konfekcji damskiej sprzedaż towarów modnych, gdzie wartość jakiejś materji trwa tak długo, jak długo ona jest w modzie — która więc niesprzedana w sezonie traci prawie w zupełności swoją wartość. Tego jednak o amunicji powiedzieć nie można — każdy fachowiec wie, że w myśliwstwie używana amunicja, o ile nie zwilgła lub nie zamokła wogóle — lata całe niezmienioną dobroć zachowuje.

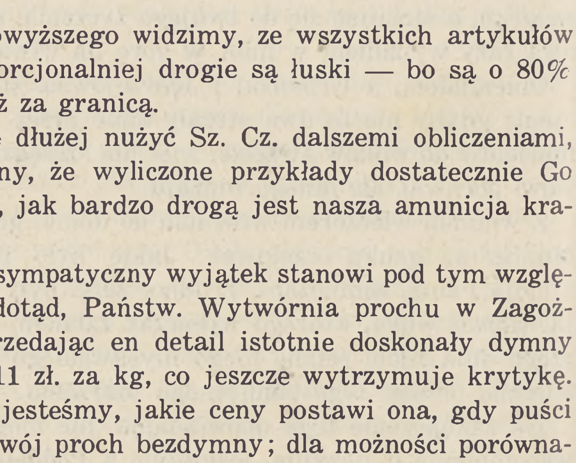
Jak z powyższego widzimy, ze wszystkich artykułów najnieproporcjonalniej drogie są łuski — bo są o 80% droższe, niż za granicą.

Nie chcę dłużej nużyć Sz. Cz. dalszemi obliczeniami, będąc pewny, że wyliczone przykłady dostatecznie Go przekonały, jak bardzo drogą jest nasza amunicja krajowa.

Jedynie sympatyczny wyjątek stanowi pod tym względem, jak dotąd, Państw. Wytwórnia prochu w Zagożdżeniu, sprzedając en detail istotnie doskonały dymny proch, po 11 zł. za kg, co jeszcze wytrzymuje krytykę.

Ciekawi jesteśmy, jakie ceny postawi ona, gdy puści na rynek swój proch bezdymny; dla możności porównania i oceny w przyszłości, pozwalam sobie podać, że w Niemczech 1 kg prochu bezdymnego Rottweilera, kosztuje w handlu detalicznym 10 Rm. = 22 zł. — u nas zaś obecnie 1 kg tego prochu, sprowadzonego z Niemiec 40 zł.

(d. n.)



Korespondencje

Ochrona bobra

Będąc w ubiegłym miesiącu na Wołyniu, w mieście Zdołbunów, poznałem się tam z jednym tamtejszym myśliwym, aptekarzem p. Krukiem, człowiekiem starszym, członkiem tamtejszego Tow. Łowieckiego, który w gawędce myśliwskiej przedstawił mi cały szereg kwiatków z niwy tamtejszych stosunków myśliwskich. Jeden z najbardziej zasługujących na napiętnowanie, pozwolę sobie na tem miejscu podać do wiadomości ogółu Braci Myśliwych z nadzieją, że może znajdzie się wśród Szan. Czytelników taki, który mając więcej czasu odemnie i więcej „wprawy" w szukaniu winnych — zechce zająć się powyższym faktem.

A zatem według relacji p. aptekarza Kruka z końcem 1929 r. przyłapał On kłusownika na terenie należącym do tamt. Towarzystwa Łowieckiego, który na rzece Horyń, zabił kotną samicę bobra, która miała w wnętrzu swem dwoje młodych.

O fakcie tym zawiadomił p. Kruk Starostwo w Zdołbunowie, które wdrodze administracyjnej ukarało owego kłusownika kwotą Zł. 20,— (!!) (słownie złotych dwadzieścia), podczas, gdy tenże, za skórę wziął od żyda 5 rubli carskich w złocie.

I żeby nie to, że fakt ten opowiada człowiek ze wszech miar zasługujący na zaufanie i chętny do każdoczesnego udzielenia informacji, możnaby wprost zwątpić w prawdziwość tego faktu.

Podobnych faktów o kłusownictwie rozwielmożnionem na wielką skalę na Wołyniu opowiedział mi p. Kruk bardzo wiele, uważam jednak, że wyżej przytoczony zasługuje ze wszechmiar na podkreślenie, gdyż przy stosowaniu tego rodzaju kar, mowy być nie może o położeniu tamie kłusownictwu, które gotuje zagładę zwierzostanu.

Cześć łowom!

J. P.

Treść powyższej korespondencji polecamy gorąco uwadze P. Zw. St. Łow. i p. Referenta łowieckiego przy Ministerstwie Rolnictwa.

Jeszcze o polowaniach na zające w ubiegłym sezonie

(Panu Delegatowi Profesorowi Władysławowi Gürtlerowi w odpowiedzi).

Jest rzeczą powszechnie znaną — że już zima 1927/28 i wiosna 1928 roku, były bardzo niekorzystne dla wszelakiej zwierzyny łownej i szkód zrobiły nie mało.

Ale klęska zimy 1927/28, nie była jeszcze niczem w porównaniu do tej klęski, jaką przyniosła katastrofalna zima 1928/29 (patrz korespondencja p. Inż. W. Krawczyńskiego, delegata M. T. Ł., „Katastrofa zwierzyny w Małopolsce, skutkiem zimy 1928/29", „Łowiec" Nr. 6, z 16/III. 1929). Nie będę tu przypominał szczegółów tej strasznej dla zwierzostanów zimy — bo wszyscy myśliwi i hodowcy tę fatalną zimę dobrze pamiętają — a stwierdzam tylko, że skutkiem niej wyginęły ogromne ilości wszelakiej zwierzyny łownej na ziemiach całej Polski. — Bardzo poważne straty poniósł i ród zajęczy — zaczęto myśleć o jego ochronie!

Wydział M. T. Ł. w dobrze zrozumianem poczuciu obowiązku przedstawił bezzwłocznie Panom Wojewodom na terenie Małopolski wnioski o otoczenie zdziesiątkowanej zwierzyny opieką przez rozszerzenie czasów ochronnych. Nasze Władze administracyjne, które od chwili, gdy się w Polsce zachwiały rządy partyjnictwa, są Bogu dzięki prawie wszędzie już „prawdziwemi Władzami" — zrozumiały w lot grożące naszym zwierzostanom niebezpieczeństwo i idąc po linji proponowanej przez Wydział M. T. Ł., rozszerzyły czasy ochronne dla zwierzyny łownej a w jej liczbie i dla zajęcy. Np. Pan Wojewoda Lwowski przedłużył rozporządzeniem z dnia 6/VIII 1929, L. R. L. 50 łow., czas ochronny dla zajęcy-szaraków do dnia 15 listopada 1929. („Łowiec" Nr. 17 z 1/IX 1929).

Na dobrej woli więc naszym Władzom administracyjnym nie zbywało. Niestety wydane przez nie zarządzenia okazały się wkrótce niewystarczające; jak tylko minął dzień 15 listopada 1929, stęsknieni za polowaniem myśliwi, zaczęli stanowczo za wiele polować.

Wtedy Redakcja „Łowca" — na której czele stoi jeden z najznakomitszych myśliwych, a zarazem wielki znawca naszych stosunków łowieckich, p. Wiceprezes M. T. Ł. Albert Mniszek — tak apelowała w Nr. 24 „Łowca" z 16 grudnia 1929, do delegatów i członków M. T. Ł.:

„Zwracamy uwagę naszych P. T. Delegatów i Członków na marny stan zajęcy w Małopolsce i polecamy Im jak najdalej idącą powściągliwość w urządzaniu gremjalnych polowań."

W tym samym numerze „Łowca" została umieszczona korespondencja niżej podpisanego „O zajączkowych polowaniach w bieżącym sezonie" — poparta przez p. Jana Jędrzejowicza, Prezesa Powiatowej Komisji Łowieckiej w Rzeszowie, — stwierdzająca, że skutkiem katastrofalnej zimy 1928/29, zające poniosły ogromne straty i wzywająca miarodajne czynniki i ogół myśliwski do ich dalszej ochrony.

Wreszcie „Łowiec" z 1 stycznia 1930, przynosi wraz z tradycyjnemi życzeniami Noworocznemi gorący apel do myśliwych Małopolski, wzywający ich do ochrony zwierzyny temi słowy:

„Straszliwa zima zeszłoroczna zdziesiątkowała nasze zwierzostany. Długoletnie nasze wysiłki poszły na marne! Poczynać trzeba pracę na nowo! Nadeszła znów zima — nie wiemy jaką ona będzie. Stańmy gotowi do skutecznej z nią walki. Chrońmy to co nam jeszcze pozostało. Bądźmy powściągliwi w urządzaniu polowań, miejmy gotowe paśniki i ścieliska dla naszej płowej zwierzyny".

A więc równocześnie i z Centrali M. T. Ł. i z prowincji odezwały się pełne troski głosy o przyszłość zajęczego rodu.

Rozumna akcja Wydziału M. T. Ł. odniosła i tym razem znowu pożądany skutek, bardzo wielu myśliwych zaniechało polowań, Panowie Wojewodowie otoczyli zwierzynę naszą dalszą opieką, a czas ochronny dla zajęcy-szaraków został rozszerzony na drugą połowę stycznia i na październik 1930 roku (w naszem Województwie rozporządzeniem Pana Wojewody Lwowskiego z daty 6/XII 1929, L. R. L. 144. Łow. — „Łowiec" Nr. 2 z 16 stycznia 1930). Te głosy ostrzeżenia i pełne troski apele, tudzież celowe zarządzenia naszych Władz administracyjnych — nie u wszystkich myśliwych widocznie znalazły aprobatę, skoro tak poważny i zasłużony delegat M. T. Ł., jak p. Prof. Gürtler, stanął w swojem „Sprawozdaniu łowieckiem z powiatu Rzeszowskiego" (patrz „Łowiec" Nr. 5 z 1 marca 1930) na biegunowo przeciwnem stanowisku. „Sprawozdanie łowieckie" p. Prof. Gürtlera jest napisane na cześć i w obronie Towarzystwa myśliwych w Rzeszowie, (którego zasług na polu łowiectwa, a tem mniej zasług jego prezesa, delegata Radcy Dr. Adama Midowicza nikt nie negował, ani nie neguje) ale między linjami jest artykułem wymierzonym przeciwko mojej korespondencji: „O zajączkowych polowaniach w bieżącym sezonie" — co zmusza mnie do odpowiedzi.

Pan Prof. Gürtler zapewnia czytelników „Łowca", że Towarzystwo myśliwych stwarza dla zwierzyny pomyślne warunki bytowania i rozmnoży, że od lat dziesięciu oszczędza kuropatwy, że nie poluje na „pomyka", że do opolowania przeznacza duże obszary, że przed sezonem przeprowadza „komisyjnie" sumienną „autopsję" terenów łowieckich, że na polowaniach kociołkowych ucieka dużo zajęcy przed i po zamknięciu kotła, że każdego terenu strzegą czujni dozorcy, że Towarzystwo płaci im strzałowe, tudzież wynagrodzenie za strzelby odebrane kłusownikom, za każde sidło i za ubite szkodniki, że Sądy rzeszowskie ostro karzą kłusowników, że Towarzystwo płaci wysokie czynsze dzierżawne, że gminy kupują sobie za te czynsze dzierżawne lokomobile i sikawki i że budują domy ludowe, (w których może kiedyś prawidłowe łowiectwo będzie chętnym wykładane?), że Towarzy-

stwo myśliwych spełnia rolę dobroczyńcy ludzkości „gdy duże zarobki nagonki idą na korzyść wiejskiego proletarjatu", — że niektóre gminy zaofiarowały same i to skwapliwie swoje polowania Towarzystwu i nie chciały ich oddać osobom prywatnym, mimo kuszących ofert z ich strony (?), że włościaństwo zaczyna interesować się polowaniem (?), że plaga kłusownictwa zanika (?), że wieś zaczyna brzydzić się kłusownictwem (?) i t. d.

Podziwiam, że w tych tak ciężkich i przykrych czasach i żyjąc wśród naszego społeczeństwa — może być pan Profesor takim optymistą!

Jest rzeczą chwalebną, że Towarzystwo myśliwych tak dodatnią rozwinęło działalność w powiecie, we wszystko na słowo chcę wierzyć i tu nie byłoby powodu do dysputy, — chyba o kłusownictwo, bo co do kłusownictwa i wnykarstwa, to na razie nie przedstawia się jeszcze ta rzecz tak bardzo idealnie. Pomimo silnej ręki, energicznych rządów i wybitnych zasług także i na polu ochrony łowiectwa tutejszego Starosty p. Radcy Województwa Dra Artura Friedricha, pomimo czujności Policji i surowości Sądów, kłusownictwo, a zwłaszcza wnykarstwo w rzeszowskim powiecie niestety jeszcze wytępionem nie zostało; jest to smutna pamiątka po „wolności" to jest po sejmowładztwie z lat 1918 do 1926, którą usunąć nie jest znowu tak łatwo, jakby się wydawało. Wie o tem doskonale p. Prof. Gürtler.

Ale p. Profesor twierdzi również w swojem sprawozdaniu, że stosunki łowieckie w tutejszym powiecie są dziś tak „wyjątkowo pomyślne", pisze o bogactwie naszych zwierzostanów, a nawet pośrednio składa hołd polowaniom ubiegłego sezonu (choć mam wrażenie, że bez entuzjazmu) i udowadnia „statystycznie", że zima 1928/29, właściwie żadnych szkód dla zwierzyny nie przyniosła, ergo, że wszystkie nasze alarmy były „conajmniej przedwczesne" a zarządzenia ochronne Władz, chyba niepotrzebne.

Daleki od wszelkiej niechęci czy animozji tak do Towarzystwa myśliwych w Rzeszowie, którego dodatniej roli i zasług bynajmniej umniejszać nie chcę, jak do kogokolwiek, a zwłaszcza do p. Profesora Gürtlera — którego wysoko poważam, jako człowieka, myśliwego i niezrównanego towarzysza, jednak z tem stanowiskiem szanownego p. Profesora zgodzić się nie mogę.

Sprawa ta wymaga wyjaśnienia.

Pisząc moją korespondencję „O zajączkowych polowaniach w bieżącym sezonie" („Łowiec" Nr. 24 z 16/12 1929) w porozumieniu z Prezesem tutejszej Powiatowej Komisji Łowieckiej, byłem przekonany, że wszyscy delegaci rzeszowskiego powiatu i członkowie M. T. Ł. na treść tej korespondencji się zgodzą, tak jak się zgodne z nią okazały i zapatrywania naszych Władz łowieckich i zarządzenia Władz administracyjnych.

Nieoczekiwane stanowisko pana delegata Prof. Gürtlera zmusza mnie niestety do ponownego sprecyzowania moich zapatrywań w tej sprawie.

1) A więc stwierdzam stanowczo, że fatalna zima 1928/29 zrobiła ogromne szkody we wszelakiej zwierzynie łownej rzeszowskiego powiatu i że bardzo poważnie ucierpiały skutkiem niej także i zające. W dobrach p. Jana Jędrzejowicza na obszarze samej tylko bażantarni w Miłocinie t. j. na 42 morgach znaleziono na wiosnę 1929 pięćdziesiąt padłych zajęcy.

2) Uważam, że ze względu na przyszłość zajęczego rodu, — a więc, że ze względów hodowlanych powinno się było ograniczyć polowania w sezonie 1929/30 i jak najbardziej zaszanować ród zajęczy — a nie cieszyć się tem, że na niektórych terenach padło więcej sztuk w tym roku, niż w roku zeszłym — bo sama tylko ilość ubitych sztuk nie ma dla oznaczenia siły zwierzostanu w danem łowisku częstokroć żadnego znaczenia i zależy nie rzadko od zupełnego przypadku, większej ilości strzelb, celniejszych strzałów, lepszej pogody, liczniejszej i sprawniejszej nagonki i t. p.

3) Mam to przekonanie, że w konsekwencji powinny były Władze administracyjne wydać nakazy ograniczające czas polowań i że dobrze zrobiły, że je wydały — a delegaci i członkowie M. T. Ł. starać się otoczyć ród zajęczy jak najtroskliwszą opieką, jak najmniej polować w sezonie 1929/30 i wywierać nawet pewną presję moralną w tym kierunku na ogół myśliwych w powiecie.

4) Podtrzymuję wreszcie w całej pełni twierdzenie, że największem złem dla zwierzostanu w danym rewirze jest:

a) myśliwy polujący dla zysku,

b) polowania gremjalne (zwłaszcza w kotły) przy za dużej liczbie uczestników, zwykle jeszcze dobrze strzelających i nie rzadko posiadających automatyczną broń śrutową, które oczywiście muszą przybrać charakter „obław" na zające i doprowadzić w końcu do zupełnej katastrofy zwierzyny.

Jestem przekonany, że cała opinja łowiecka w kraju z tem mojem stanowiskiem się zgodzi, chociaż według słów znanego ornitologa p. Janusza Domaniewskiego: „najtrudniej jest przekonać o rzeczach oczywistych".

P. Juljan Ejsmond — znany pisarz łowiecki i referent łowiecki w Ministerstwie rolnictwa i dóbr państwowych określił dosadnie w swojej książce: „Moje wspomnienia łowieckie" na stronicy 304 w ustępie „Był tu kot — był tu kot" jak niebezpieczne są polowania w kotły ze względów hodowlanych.

P. Ejsmond pisze: „Z punktu widzenia hodowlanego polowanie w kotły jest niezmiernie szkodliwe dla zwierzostanu. Każdy niemal szarak w kotle zostaje strzelany, przewaga jest raniona i dla łowiska stracona. Kotły najbardziej zgrane i dobrane towarzystwo łowieckie mogą zdemoralizować i poważnić, najładniejszy pod względem zwierzostanu teren spustoszyć".

A więc p. Ejsmond uważa polowania w kotły zawsze za niebezpieczne ze względów hodowlanych — a cóż dopiero, gdy te kociołki odbywały się po klęsce zimy 1928/29 i gdy w tych kociołkowych polowaniach brała udział nadmierna ilość strzelb, jak się to działo niestety na wielu terenach rzeszowskiego powiatu.

Posłuchajmy także co o stosunkach łowieckich w rzeszowskim powiecie i o tutejszych polowaniach mówił swego czasu p. Prof. Gürtler.

W „Sprawozdaniu myśliwskiem z Rzeszowa" („Łowiec" Nr. 4 z kwietnia 1923) tak pisze p. Prof. Gürtler:

„Wiele jeszcze czasu upłynie, zanim wytrwałą i uświadamiającą pracą doprowadzimy do tego, że chłopek nasz zrozumie nareszcie — na czem polega ochrona zwierzyny, jakie ważne i wielkie znaczenie ma kultura łowiecka w życiu ekonomicznem Państwa i że uszanuje cudzą własność. Dzierżawcy terenów, a mam na myśli ludzi z miasta, zamało także dbają o swoją zwierzynę. Troska ich o nią ogranicza się co najwyżej tylko do ustanowienia lepszych lub gorszych dozorców, odwiedzenia raz lub dwa razy w jesieni dzierżawionego terenu, odstrzelenia kilku zajęcy „na pomyka" i urządzenia gremjalnego polowania w grudniu lub w styczniu. Na wydatek na paszę dla zwierzyny w czasie ostrej, śnieżnej zimy ich nie stać. Tem trudniej mogą się zdobyć na sprowadzenie skądinąd zwierzyny dla odświeżenia krwi. Na takiem tle przedstawiają się stosunki myśliwskie w powiecie rzeszowskim wcale nie wesoło i delegaci, tudzież dzierżawcy terenów i myśliwi z Bożej łaski, muszą wiele trudów położyć, aby przeprowadzić sanację tego smutnego stanu".

Tak pesymistycznie malował w roku 1923 tutejsze stosunki łowieckie p. Prof. Gürtler. Nie wiele się one dotychczas niestety na korzyść zmieniły, bo cuda się nie dzieją i dlatego w Nr. 4 „Łowca" z kwietnia 1922 pisał p. Prof. Gürtler o rzeszowskich polowaniach w kociołki:

„Kotły są dla mnie poniekąd nowością. W zaleszczyckiem przed wojną nie urządzano nigdy kociołków, być może dlatego, że było dość lasów do opolowania, albo może dlatego, że polowania tego rodzaju zanadto zwierzynę przetrzebiają. Za wiele jej pada i za wiele zestrzelanej ginie marnie poza kotłem, gdy na poszukiwanie postrzałków zwykle niema czasu. Gdy wreszcie wielu myśliwych uzbraja się na te polowania w broń automatyczną, zabijającą dopiero nieraz za czwartym lub piątym strzałem, bywają rozkłady w stosunku do widzianej zwierzyny stanowczo za duże. Gdyby wszyscy myśliwi mieli automaty i dobrze z nich strzelali,

nie wyszedłby ani jeden zając z kotła!... A coby zostało na rok przyszły?".

Tak więc i czcigodny p. Prof. Gürtler nie zawsze zachwycał się stosunkami łowieckiemi w rzeszowskim powiecie i sposobem wykonywania tu polowań.

Stanowisko, jakie w powyżej przytoczonych „tezach" zajmuje, jest oczywiście najzupełniej słuszne — ale stwierdzam, że znacznie ostrzejsze od stanowiska zajętego przezemnie w moim artykule „O zajączkowych polowaniach w bieżącym sezonie", w którym tutejsze stosunki łowieckie i polowania w kociołki przy udziale za dużej ilości strzelb i to po katastrofalnej dla zwierzyny zimie — poddałem (jak to każdy bezstronny przyzna) rzeczowej — ale niesłychanie oględnej krytyce — nie dotykając nikogo osobiście.

Znając te surowe sądy p. Prof. Gürtlera, tem śmielej mogłem przypuszczać, że będzie tu bez zastrzeżeń po mojej stawał stronie w obronie kultury łowieckiej i jej przyszłości.

Na zakończenie pozwolę sobie jeszcze dodać parę słów o „cyfrach statystycznych" podanych czytelnikom „Łowca" przez p. Prof. Gürtlera, a odnoszących się do rezultatów polowań w ubiegłym sezonie.

Jak już powyżej powiedziałem, ilości ubitej podczas polowania na danym terenie łowieckim zwierzyny — nie są nigdy mojem zdaniem zbyt miarodajne dla określenia siły zwierzostanu — to jest dla określenia, czy w danem łowisku jest dużo czy mało zwierzyny. Po samej tylko ilości ubitych sztuk nie można bezwzględnie sądzić o zwierzostanie, bo wtedy dochodzi się częstokroć zupełnie fałszywych wniosków.

Gdybyśmy nawet tą błędną zresztą metodę przyjęli — to i tak wydaje mi się, że cyfry przytoczone w korespondencji p. Prof. Gürtlera potwierdzają niestety prawie w zupełności moje pesymistyczne twierdzenia.

Podane nam najłaskawiej przez p. delegata prof. Gürtlera rezultaty polowań kociołkowych w Niechobrzu, Błędowej, Woliczce, Zgłobniu, Zwieczycy, Trzcianie, Staroniwie, Zarzeczu i Siedliskach muszę nestety uważać tak w roku 1928 jak w roku 1929 za rezultaty bardzo słabe ze względu na ilość strzelb biorących udział w polowaniu — bo jeżeli dla zabicia w roku 1928 w Niechobrzu, Zwięczycy i Staroniwie 41, 64 47 zajęcy potrzeba było 22, 16 i 16 strzelb (patrz „Łowiec" Nr. 6 z 16 marca 1929) — a dla zabicia w roku 1929 w Niechobrzu, Błędowie i Woliczce, Zgłobniu, Zwięczycy, Trzcianie, Staroniwie, Zarzeczu i Siedliskach 66, 66, 78, 86, 57, 48 i 51 zajęcy potrzeba było 25, 21, 25, 29, 22, 22 i 20 strzelb — to znaczy, że tak w roku 1928 jak i w roku 1929 wiele zajęcy na tych terenach nie było. A odbyły się przecież w tutejszym powiecie w r. 1929 polowania o jeszcze słabszym rezultacie!

(I z innych powiatów napływają dziwne korespondencje do „Łowca", których autorzy cieszą się rezultatem gdy w 4 strzelby padło 12 zajęcy lub na 14 strzelb 28. Oczywiście z nimi polemizować nie będę — niech się cieszą).

Z podanych nam przez p. Prof. Gürtlera rezultatów polowań znacznie już lepiej przedstawia się rezultat polowania w Racławówce, gdzie ubito w 22 strzelby 93 zajęcy, a więc przeszło 4 sztuki na myśliwego. (Zeszłego roku padło tam w 14 strzelb 64 zajęcy). Dobrym także można nazwać rezultat polowania w Świlczy — pięknem łowisku dzierżawionem od lat przez p. delegata Dr. Midowicza i otoczonem dużą opieką. Tam padło w 27 strzelb 126 zajęcy, a więc prawie 5 sztuk na myśliwego.

(Zeszłego roku w 23 strzelby 98 szaraków).

Obecnych stosunków łowieckich u p. Bieniaszewskiego w Wysokiej nie znam. Przypuszczam, że duża różnica rezultatów polowania w sezonie 1928/29 i w sezonie 1929/30 jest tem spowodona, że w roku 1928/29 opolowano prawdopodobnie tylko las, zabijając 28 sztuk, gdy w roku 1929/30 wzięto także i kotły polne przy udziale 20 strzelb i ubito 102 zające i 1 gołębiarza. W każdym razie rezultat jak na tut. stosunki i niekorzystne położenie rewiru wcale dobry, bo przeszło 5 sztuk na myśliwego. Jest to procentowo najlepszy rezultat ubiegłego sezonu w tut. powiecie. Były więc niewątpliwie „szczęśliwe wyjątki" ale wyjątki.

Przechodzę do 3 polowań kniejowych w Błażowej, Mrowli i Turzy.

Polowania kniejowe mają zawsze swój ogromny czar. Tu już nie chodzi tyle o ilość — ile o jakość zwierzyny.

A więc najpierw polowanie kniejowe w Błażowej z rezultatem 12 zajęcy i słonka w 14 strzelb. Rezultat słaby podobnie jak słabym był rezultat 2-dniowego polowania w Błażowej w sezonie 1928/29. Wtedy padło w 16 strzelb 24 zajęcy i jarząbek.

Bezsprzecznie ładnem było polowanie kniejowe w Mrowli ze względu na dużą ilość lisów, które polowaniom dodają zawsze wiele uroku. Stosunek strzelb do ubitej zwierzyny fatalny, bo na 25 strzelb padło 10 lisów i 19 zajęcy. (W sezonie 1928/29 padło tam 2 lisy, 1 rogacz i 30 zajęcy w 18 strzelb).

Pięknem ze względu na różnorodność zwierzyny było polowanie kniejowe w Turzy, Trzebusce i Hucisku (powiat Kolbuszowa). Strzelb jak wszędzie wiele. Polowanie to dało wroku 1929/30 w 2 dniach w 21 strzelb 72 sztuki t. j. 67 zajęcy, 3 rogacze, 1 lisa i 1 cietrzewia. Dziki wyszły obronną ręką.

(W sezone 1928/29 padło w Turzy w 2 dniach w 23 strzelb sztuk 81 t. j. 71 zajęcy, 7 rogaczy i 3 lisy. Ilościowo więc rezultat lepszy niż w ubiegłym sezonie).

Prawdziwie pięknem nazwałbym jedynie 2 dniowe polowanie po polach i lasach Tryńczy (powiat Przeworsk) ze względu na ładny stosunek strzelb do ubitej zwierzyny. Tam padło w 2 dniach w 12 strzelb 149 sztuk tj. dziennie po przeszło 6 sztuk na myśliwego.

Pozostaje do omówienia rewir polny Przybyszówka (powiat Rzeszów).

Najklasyczniejszym dowodem braku zajęcy w ostatnim sezonie jest teren łowiecki w Przybyszówce, gdzie pozornie wypadło polowanie wcale dobrze, bo z rezultatem przeszło 5 sztuk na myśliwego.

Rewir ten — jeden z najładniejszych i najlepiej położonych rewirów w powiecie, był przez szereg lat dzierżawiony (t. j. jeszcze w sezonie 1928/29) przez p. Jana Jędrzejowicza ze Staromieścia — znakomitego myśliwego i hodowcę zwierzyny o którego polowaniach z takiem uznaniem i tak pięknie niejednokrotnie już w „Łowcu" pisał p. Prof. Gürtler. Otóż tam w Przybyszówce w sezonie 1925/26 na polowaniu urządzonem przez p. Jędrzejowicza padło dnia 10 grudnia 1925 w dwóch „ławach" w 11 strzelb 242 zajęcy, a w sezonie 1928/29 to jest dnia 11 grudnia 1928 na skombinowanym terenie bażantarnia w Miłocinie i część pól w Przybyszówce ubito w jednej „ławie" w fatalnych warunkach klimatycznych w 12 strzelb 247 zajęcy i 25 kogutów-bażantów. (Rezultat 2-dniowego polowania w Staromieściu w 12 strzelb był 611 zajęcy i 25 bażantów).

Ale dajmu spokój tym prawdziwie ładnym rezultatom!

W sezonie 1927/28 polowanie w Przybyszówce się „nie udało", (jak sam gospodarz w swych zapiskach to konstatuje) a mianowicie dnia 30 stycznia 1928 ubito w 11 strzelb w dwóch „ławach" 170 zajęcy, ale rok był zły i źle strzelano. Jednak powtarzam padło w 11 strzelb 170 zajęcy.

Dziś w roku 1929/30 (dnia 28 grudnia 1929) ubito w Przybyszówce w sześciu kotłach w 34 strzelb (wyraźnie trzydzieści cztery strzelb) 179 zajęcy, a Przybyszówka była terenem uszanowanym przez poprzedniego dzierżawcę p. delegata Jędrzejowicza.

Słaby rezultat w Przybyszówce spowodowała zima 1928/29. Gdyby nie klęska tej zimy, to przy 34 strzelbach powinno paść w tem pięknem łowisku kilkaset zajęcy!

A więc zdaje mi się, że i przytoczone przez p. Prof. Gürtlera „cyfry statystyczne" nie potwierdzają może zbyt optymistycznych jego twierdzeń.

Dla mnie rzecz wydaje się jasna: zima 1928/29 przyniosła naszym zwierzostanom, a w ich liczbie i rodowi zajęczemu bardzo poważną klęskę, stosunki nie są wesołe, powinno się było w ubie-

głym sezonie w myśl wskazań naszych Władz łowieckich jak najmniej polować, zwierzynę oszczędzać, myśleć o przyszłości.

Ale Bóg łaskaw — trzeba mieć nadzieję, że poczciwy szarak i tak przetrzyma, bo przetrzymał w Polsce już wiele. Zima jest łagodna i wiosna może piękną będzie — zobaczyny...

Na zakończenie jeszcze jedno: proszę aby czcigodny p. Prof. Gürtler był przekonany, że to co tu powiedziałem — powiedziałem jedynie w ideowej obronie wyznawanych przezemnie zasad łowieckich, ale daleki od wszelkiej osobistej animozji, niechęci, czy uprzedzenia i zechciał przyjąć pomimo obecnej różnicy zdań zapewnienia mego prawdziwego szacunku i wysokiego poważania.

Cześć św. Hubertowi!

Stanisław Korwin Milewski
delegat

Dnia 30 grudnia 1929 r. wpadł pomiędzy zabudowania folwarczne majątku pp. Bogdanowiczów, Kossów (powiat Czortków) duży odyniec i rzucił się na człowieka, który mu zastąpił drogę z widłami i następnie zaczął biegać po toku szerząc panikę pomiędzy ludźmi zajętymi przy młocarni. Na wiadomość o pokazaniu się dzika, wybiegł inż. Michał Bogdanowicz ze swym gościem p. Zbigniewem Więcławem oraz rządcą p. Misztalem z dubeltówkami, mając jedynie naboje zajęcze, ponieważ nie spodziewali się takiej zwierzyny na folwarku, tembardziej, że najbliższy las jest oddalony o 6 km. Dzik otrzymawszy kilka postrzałów, szarżował na p. Zb. Więcława, który dał do niego strzał z odległości 12 kroków. Dzik rulował w miejscu. Podaję ten wypadek, jako niezwykły, aby dzik w południe i tak daleko od lasów odważył się wpaść na folwark i następnie aby mógł paść od ładunku drobnego śrutu.



Na zdjęciu stoją: p. Bogdanowiczowa Stefanja, p. Róża Bogdanowiczówna, p. inż. Michał Bogdanowicz, p. Zbigniew Więcław.

Kraków, 26 marca 1930

Z Oddziału Małop. Tow. Łow. w Krakowie

Jako jeden z delegatów łowieckich na powiat krakowski, przedkładam sprawozdanie z odbytych polowań gremjalnych w tymże powiecie z ubiegłego sezonu 1929/30:

Towarzystwo myśl. im. św. Huberta:

Obwód łowiecki Tyniec, 2 dniowe polowanie, ilość strzelb 15 — 2 lisy, 80 zajęcy, 6 bażantów, 128 kaczek i w pojedynkę 128 kuropatw.

Radziszów, 12 strzelb — 2 dniowe polowanie — 53 zajęcy.

Spółka myśl. Mogiła: 20 strzelb — 60 zajęcy.

Towarzystwo myśl. im. ś. p. Godzickiego:

Rzozów, 9 strzelb — 53 zajęcy.

Skawina, 8 strzelb — 24 zajęcy — w pojedynkę 69 kuropatw.

Krzęcin, 9 strzelb — 35 zajęcy, 2 bażanty.

Spółka myśl. „Wisła“:

Płaszów-Rybitwy, 6 strzelb — 34 zajęcy.

Czyżyny-Łęk, 8 strzelb — 46 zajęcy.

Inż. Szarek: Kościelnik i część Wyciąża, 12 strzelb — 36 zajęcy.

Mimo srogiej zeszłorocznej zimy stan zajęcy i kuropatw był w powiecie krak. zupełnie zadowalniający — i wyższy niż w ubiegłym roku.

Według relacji strażników łow. Tow. im św. Huberta, znaleziono już w pierwszej połowie lutego dwa zmarznięte zajączki, a z początkiem marca widziano pojedyńcze młode zające wielkości królika.

Józef Stiller em. gen. dyw.
delegat na pow. krakowski

Przystań, w marcu 1930

W smutnej chwili szalonego opadu śniegowego, rozporządzając chwilą wolnego czasu, pozwalam sobie przesłać następującą korespondencję.

Upragniony a przez cały rok oczekiwany tok cietrzewi w pierwszych dniach marca rozpoczął się — skutkiem jednak powrotnej a niespodziewanej zimy na razie ustał. — Zdziwione i przerażone opadem śniegu koguty, obsiadają masowo brzozy przylegającego lasu do ich rok rocznie stałego tokowiska, smutne i napuszone od czasu do czasu bełkocząc, wyczekują z niecierpliwością ożywczego słońca i powrotu wiosny.

Sławne od szeregu lat wspaniałe toki cietrzewi, odbywają się w lasach Butyńskich — dawnemi laty toki te rozprószone były po całym obszarze lasów na łąkach włościańskich i enklawach — dzisiaj jednak w miarę podrostu kultur oraz zadrzewienia enklaw i gołoboży, swoje miłosne pienia przeniosły na szerokie, osuszone przez regulację potoku Błotni, łąki. Toki obecnie zapowiadają się wspaniale, bo już przed obecnie spadłym śniegiem, raportowano mi bez przesady, że na obszarze kilkunastomorgowej łąki, zaczęło tokować przeszło 100 cietrzewi, a nieoceniony gajowy Jacko (specjalista cietrzewnik) poznaczył już prymitywnie budki w oczekiwaniu na przyjazd myśliwych, pragnących tego bądź co bądź bardzo powabnego polowania.

Roku ubiegłego niemniej wspaniałym był tok — dowodem, chociaż nie zdradzę osoby — powiem, że jeden z miłych bardzo nemrodów na jednym toku, wprawdzie bez rezultatu, ale strzelił sobie 19 razy. Mój zaś siostrzeniec, doskonały myśliwy i znakomity strzelec An. Jak. przyjechawszy, pyta: „Wuju a będę mógł już nie zastrzelić, ale bodaj zobaczyć cietrzewia“? — odpowiedziałem — że spodziewając się Ciebie, omal nie założyłem się z synem, że Ty powrócisz z toku z 5-ma kogutami. — Mimo deszczu i wichury nie bardzo dowierzając, pojechał w nocy a rano koło 6-tej wrócił z trofeami w ilości trzech kogutów, ślicznie strzelonych kulami z małokalibrowego sztucerka. — Nad wyraz uszczęśliwiony, powiada: Wuju mogłem strzelić najmniej 10 sztuk — ale przecież nie jestem rzeźnikiem, a wyszedłszy z budki i podjąwszy ustrzelone koguty, usiadłem z dala na poręczy szluzy a obserwując przez binokle całe wspaniałe, wprost nie do opisania łowiska, naliczyłem około 50 sztuk cietrzewi“.

Niestety nie wszyscy z miłych gości myśliwych mieli takie szczęście. — Widzieć, widzieli — strzelać, strzelali — może jednak licha broń a może z niewyspania wzrok im nie dopisał — były powodem tego, że przez cały tok, prócz powyższych 3 — padło od kilku myśliwych zaledwie 9 kogutów. — O tegorocznym rezultacie toków nie omieszkam donieść. — Tegoroczna łagodna zima była bardzo łaskawą dla łownej zwierzyny — a mimo tak strasznie mroźnej zeszłorocznej, nie widać ubytku szcze-

gólnie w sarnach — dowodem, że w dniu 14 stycznia 1930, w polowaniu na zające w jednym rewirze, widzianych było kilkanaście rudli sarn — a na jednego myśliwego, wyszedł rudel z 17 sztuk. Dzików przechodnich było dużo, które tylko specjalnie przechodziły na żer żołędzi, nigdy nie zalegając. Lisy dalej nie mogą się wyzbyć parchów i tego roku jeszcze 3 zabito formalnie gołe. Zające widziano już spore z pierwszego pomiotu, obawiam się jednak, że pomiot drugi t. j. między 10—15 marca, ten skutkiem opadu śniegu i 3⁰ mrozu przepadnie, bo już z pola przyniesiono mi 2 małe zmarznięte. Zlot kaczek duży, są już od 3-ch tygodni szpaki, gołębie, czajki i żurawie, ale słonki nie dają jeszcze znaku o sobie.

Radzikowski
Delegat żółkiewski

†

Powtarzamy za „Łowcem Polskim" smutną wiadomość o śmierci ś. p. Władysława Czerniejewskiego, zmarłego w Warszawie 25 marca b. r.

Zmarły, wybitny myśliwy i podróżnik, znany był szeroko w polskim świecie łowiectwa ze swych prac, które w obu naszych „Łowcach" często umieszczał. W tece naszej posiadamy jeszcze jedną dłuższą pracę ś. p. Zmarłego, którą wkrótce drukować w „Łowcu" będziemy.

Zanim w jednym z przyszłych numerów naszego pisma, dłuższe wspomnienie Jego działalności na niwie literatury łowieckiej poświęcić będziemy mogli, składamy tymczasem hołd pamięci Zmarłego. Pokój Jego duszy!

Z Oddziału Małop. Tow. Łowieckiego w Krakowie

O ochronie drobnej zwierzyny użytkowej

Dokończenie

Przed zakończeniem niniejszej pracy, pragnęlibyśmy, w związku z ochroną łowiectwa, podnieść także bardzo ważną okolicznoćć, że wskutek kurczenia się i całkowitego zanikania pojedyńczych obwodów łowieckich własnych przy postępującej parcelacji gruntów, dzierżawione od spółek gminnych obwody łowieckie wspólne tracą coraz więcej tak ważną dla siebie bezpośrednią i pośrednią styczność z dobrze zagospodarowanemi obwodami własnemi, zyskując natomiast na rozszerzeniu swych terytorjów. W tych warunkach, zarówno ze względu na malejące, bądź znikające sąsiedzkie źródła dopływu zwierzyny użytkowej, jak i na zwiększanie się włościańskich obwodów polowania, jako jednostek gospodarczo-łowieckich, występuje tem silniej aktualna konieczność wprowadzenia i wykonywania — po myśli przytoczonych na wstępie wskazań — prawidłowej gospodarki łowieckiej także na wszystkich bez wyjątku obwodach łowieckich wspólnych, w szczególności tych, które takiej gospodarki jeszcze nie posiadają, jeżeli polowanie na rustykalnych obwodach łowieckich z pożytkiem ogólnym ma się rozwijać a przynajmniej chociażby skromnie tylko egzystować.

To też do dzierżawy prawa polowania na obwodach łowieckich wspólnych przedewszystkiem tacy kandydaci przystępować winni, którzy, obok należytego zrozumienia i wyczucia dla sprawy i chociażby przy najlepszej swej wiedzy i chęciach stosowania się do przepisów ustawy i wymogów etyki łowieckiej, rozporządzają jednak nadto jeszcze dostatecznemi środkami materjalnemi dla prawidłowego zagospodarowania terenu i utrzymania tej gospodarki na wyższym poziomie przez cały czas trwania dzierżawy.

Zbiorowe osiągnięcie pożądanych rezultatów gospodarczych ułatwionem jest przez przynależność do organizacyj myśliwskich i korzystanie z odpowiednich urządzeń łowiecko-hodowlanych. Szeroka organizacja ideowa i praktyczno-myśliwska z podłożem racjonalnej gospodarki, jak tego mamy dowody w sąsiednich krajach zachodnich, podnosi wysoko poziom łowiectwa i zwierzostanu, toruje drogę nowoczesnemu łowiectwu do rozszerzenia i utrwalenia należnego mu znaczenia w całokształtcie gospodarstwa krajowego, a wreszcie jest ona tym naturalnym wałem obronnym, o który niejednokrotnie już rozbijały się nieprzychylne łowiectwu zakusy. Jako taka, winna też być organizacja łowiecka stale przez każdego prawdziwego myśliwego czynnie wyznawaną i najszerzej propagowaną.

Bez należytej, nieraz pełnej oddania się i ofiarnej gospodarki, obwody łowieckie wspólne, już z natury rzeczy nie mające tych, co obwody własne, pomyślnych dla siebie warunków łowieckich i przeciętnie już dzisiaj znacznie wyczerpane a nadto ustawowo w dalszym swym rozwoju jeszcze nie dość zabezpieczone, wcześniej lub później, jednak, przy zmienionych stosunkach powojennych, coraz więcej podupadać będą, dochodząc stopniowo — co nie daj Boże — do ruiny z niepowetowaną szkodą dla całości gospodarstwa krajowego i samego łowiectwa, jako przytem także jednego z najstarszych, najpiękniejszych, najmilszych, wyrabiających hart ducha i ciała oraz z ukochaniem i ochroną przyrody ojczystej ściśle złączonych sportów.

Na tem kończymy niniejsze uwagi, tusząc, że interesowana zwłaszcza młodsza i początkująca Brać myśliwska niejedną wskazówkę dla dobra łowiectwa życzliwie przyjmie i w czyn wprowadzi.

Stanisław Morawetz
sekretarz

Sprawy Towarzystwa

Sprawozdanie z posiedzenia Wydziału M. T. Ł. w dniu 5 kwietnia 1930 r.

Przewodniczy Prezes Juljusz hr. Bielski, obecni: wiceprezesi A. Mniszek i A. Sander, członkowie Wydziału: inż. A. Ebenberger, Dr. A. Małaczyński, Dr. Fr. Piechowski, St. Pieńczykowski, H. Prek, Dr. J. Rosienkiewicz i Dr. W. Ziembicki, zastępcy: M. Chrzanowski, St.

Jaśkiewicz i St. Madeyski. Nieobecność usprawiedliwił A. Papara.

Wiceprezes A. Mniszek oznajmił, że dzięki usilnej propagandzie jego i Prezesa Towarzystwa, udział Małopolskich sfer myśliwskich w Wystawie łowieckiej w Lipsku jest zapewniony.

Przy punkcie ustalenia terminu tegorocznego Zjazdu i jego programu postanowił Wydział po wyczerpującej dyskusji Zjazd ten urządzić dopiero w pierwszych dniach września w czasie Targów Wschodnich, zachodzi bowiem poważna obawa, że wobec ciężkiego przesilenia gospodarczego i panującej stąd depresji, Zjazd urządzony w zwyczajnym terminie czerwcowym zawiódłby w zupełności.

W poczet członków zostali przyjęci: Jerzy Fedorowicz w Oknie, powiat skałecki, inż. Czesław Kurowski w Radziechowie i Józef Zając w Rohiznie, powiat radziechowski.

Przyjęto do wiadomości, że prof. Kazimierz Gorzejowski złożył mandat delegata z powiatu radziechowskiego, z powodu przesiedlenia się, tudzież, że z takiego samego powodu złożył mandat Kazimierz Gołębski z powiatu podhajeckiego.

Poruszoną przez H. Preka sprawę nakładania przez powiatowe związki komunalne uciążliwego podatku od broni omówiono szczegółowo i postanowiono przedsiębrać wszelkie do dyspozycji stojące legalne środki, by tę akcję związków komunalnych o ile możności wstrzymać, gdyż pomijając uciążliwość i niesłuszność tego opodatkowania myślistwa, rozpowszechnienie takiego opodatkowania wpłynęłoby ujemnie na rozwój fabrykacji broni i amunicji i na handel temi przedmiotami w granicach naszego Państwa.

Kierownik biura Wł. Wesołowski, przedstawił skutki nowych zarządzeń pocztowych odnośnie do wysyłki pism perjodycznych. Wprowadzona we Lwowskiej Dyrekcji pocztowej od 1 stycznia b. r. wysyłka tych pism na podstawie t. zw. kart prenumeraty, daje dla pism tych rezultaty wprost katastrofalne, a losowi takiemu ulega też i nasz „Łowiec". Po każdej ekspedycji wraca do biura naszego kilkadziesiąt egzemplarzy potarganych, pociętych lub w niemożliwy sposób poplamionych, z dopiskami, że nie można było tych egzemplarzy doręczyć, administracja nie dostaje jednak nawet żadnej wiadomości komu te egzemplarze pisma nie zostały doręczone. Stąd pochodzą ciągłe reklamacje i podwójna strata dla Towarzystwa, bo i w zniszczonych egzemplarzach i w ponownej wysyłce „Łowca" pod opaską, przy opłacaniu pełnego porta. Ani interwencje w tut. Dyrekcji pocztowej, ani korespondencje z poszczególnemi Urzędami pocztowymi nic w tym względzie nie pomagają. W kilku wypadkach, Urzędy pocztowe przyznały, że karta prenumeraty „gdzieś się zatraciła, a teraz nie wiedzą komu doręczać".

Mają wprawdzie nastąpić pewne zmiany i ulepszenia przyjętego systemu, nie jest jednak pewnem, czy one rzeczywiście nastąpią i czy będą naprawdę jakiemiś ulepszeniami.

Wydział postanowił w tym względzie, że jeżeli te stosunki się nie zmienią, to będzie zmuszonym na Walnem Zgromadzeniu zawnioskować podniesienia wkładki o kwotę 2.40 zł. rocznie tak, by każdemu członkowi przesyłać „Łowca" pod opaską, przy opłacaniu pełnego porta 10 gr.

Komunikaty

STAROSTWO POWIATOWE W LIMANOWEJ

L. XII — 10 51/30 Limanowa, dnia 2 kwietnia 1930.

Dnia 26 kwietnia 1930 r., o godzinie 10 przedpołudn., odbędzie się w tut. Starostwie (biuro Nr. 5) publiczna licytacja skonfiskowanej broni. Sprzedanych zostanie kilkanaście sztuk broni myśliwskiej i kilka rewolwerów.

Do licytacji stanąć mogą tylko osoby zaopatrzone w karty na broń.

Za Starostę powiatowego:

Jackowski

Sprostowanie i uzupełnienie

W numerze 7-dmym, w sprawozdaniu łowieckiem, na str. 110. w drugiej półkolumnie, wiersz 17-ty z dołu ma być „w Mełkiniu ad Lubień..." a nie ad Lublin.

Nadto uzupełnia się to sprawozdanie w tym kierunku, że w Obroszynie na polach i remizach gminnych ubił dzierżawca w 2—6 strzelb 25 zajęcy tudzież że w Wiszence w ciągu r. 1929/30 ubito dwa grube dziki.

Redaktor odpowiedzialny: Albert Mniszek Nakładem Małopolskiego Towarzystwa Łowieckiego
Drukarnia Księgarni Polskiej Bernarda Połonieckiego, Lwów, ul. Chorążczyzny 27 — Telef. Nr. 85-16